TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"		DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"	
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie	$1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie	$2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi	1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi	2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 13. *Chicago, Ills., 24 Września, 1885 r.* Rok II.

OPOWIADANIA JMĆ PANA WITA NARWOJA,

ROTMISTRZA KONNEJ GWARDYI KORONNEJ.

A. D. 1760 – 1767.

— SPISAŁ —

WŁADYSŁAW ŁOZINSKI.

. . . Wigilia Bożego Narodzenia!... Piękny to dzień, piękny i radośny dla chrześciańskiego serca, a tak jakoś dziwnie, uroczyście przemawia do duszy, że człowiek i płakałby zarazem i radował się płacząc od rzewności i wspomnień, co nie wiedzieć jak i zkąd nawałem cisną się do głowy i serca, radował się od wesela i szczerej otuchy, którą to wielkie w Chrześciaństwie święto, pamiątka zmiłowania Bożego dla ludzkości, napawa wierzących . . .

„Chwała Panu na wysokościach a pokój ludziom dobrej woli na ziemi". Dożyłem i ja pokoju pod resztki żywota mego, który rozmaity bywał, zmienny i w przygody nie skąpy, częściej grzeszny i rozpustny niżeli stateczny, częściej przykry i twardy niż szczęśliwy. Człek miał duszę rogatą, więc i rogato mu życie wypadało: przeżyło się lat wiele: bywało się na wozie i pod wozem; jadło się chleb z niejednego pieca, tułało się po rozmaitych kątach i własnej ziemi i obcej, i tam kędy było potrzeba i tam kędy człeka nie posiano; przebyło się opłakane czasy dla

miłej tej a biednej ziemi naszej, a teraz czeka się cierpliwie, kiedy Bóg miłosierny pozwoli odpocząć wiekuiście....

Widzę was koło siebie wszystkich, i synów i wnuków; wiankiem otoczyliście dziadka i nalegacie, aby sięgnął do pamięci swej biednej i opowiedział co z dawnych czasów. „Gadaj dziadu!" — słuszne to domaganie, bo i czemże stary bogaty, jak nie wspomnieniami długiego żywota? Kiedy taka serdeczna wola wasza, i kiedy radzi słuchacie dawnych dziejów, więc opowiem wam przygodę, która głęboko wpisała się w pamięć moją i nigdy niezatarta na dnie serca spoczywa. Wiele się zapomniało, wiele wspomnień zblakło lub całkowicie zginęło w pamięci, ale ten z mego życia, który teraz usłyszycie, tak żywo mi stoi przed oczyma, jakby się stał wczoraj, jakby się stał dzisiaj, przed chwilą.

I nie dziw, że go dzisiaj właśnie opowiedzieć się zabieram. Wszak to dzisiaj wigilia Bożego Narodzenia, a w dzień ten przygoda moja zawsze mimowolnie z taką siłą na pamięć mi się nasuwa, że daremniebym próbował o czemś innem pomyśleć i coś innego opowiedzieć. Spożyliśmy już wieczerzę, wesołe kolendy umilkły na chwilę, a skoro po starym zwyczaju przeczuwać chcecie aż do mszy św. pasterskiej, to wysłuchajcież tego ustępu cierpliwie, aby zachował się w kronice naszej rodziny.

Anno Domini 1752 byłem wyrostkiem siedmnastoletnim. Rodzice moi, z dobrej szlacheckiej krwi ale nędznej bardzo fortunki, żyli na bardzo skromnej i ubogiej własności. Dworek stary, Bóg wie, jakie jeszcze czasy pamiętający, i szmat ziemi, to całe było mienie, z którego żyć trzeba było uczciwie. Było nas troje rodzeństwa w domu. Ja byłem najstarszy, za mną szedł brat Andrzej, o lat pięć młodszy odemnie, a za nim najmłodsza siostra, Hania, mająca wówczas lat dziesięć zaledwie, dziecko dobre i śliczne jak aniołek.

W domu była bieda wielka, i nami chłopcami, a już to najbardziej mną, frasował się ojciec ustawicznie. Wyrosłem był już jak młody dąb, wąs się poczynał sypać pod nosem, a w głowie było pusto i ciemno. Umiałem zaledwie czytać i pisać, a poczciwy ksiądz pleban, staruszek bardzo zacny, Panie świeć nad duszą jego! trochę mnie w łacinie przećwiczył, bo na owe czasy ani rusz było szlachcicowi bez łaciny. Rosłem nie wiedzieć na co; duchownemu stanowi oddać się było już zapóźno, do palestry nie było o czem się aplikować, więc utrapienie było nie lada. Jakby na domiar złego, byłem chłopak krnąbrny i narowisty, jak młody źrebak z tabunu, i ani powaga śp. rodzica mego, ani słodkie przestrogi matki uchodzić mnie nie mogły.

Matka moja liczyła zawsze na krewnych, którzy posiadali znaczną fortunę, a najwięcej na wdowę bogatą, swą stryjenkę, panią podczaszynę Żołyńską, ale ta z sukursem wcale się nie śpieszyła. Pisywała do niej matka często, uciekała się do jej pomocy w gorzkich aflikcyach niedostatku, prosząc już nie dla siebie ale dla dzieci o pomoc jakową, ale pani podczaszyna wszystkie te prośby nawet responsem honorować nie raczyła. W głowę więc zachodź z wyrostkiem, jak ja! W domu nie wysiedzi niczego, do statutu i pióra nie zdatny, a rzemiosła lub pospolitej służby imać się nie pozwala szlachecka kondycya!

Tak stały rzeczy, kiedy rodzice moi po długiej naradzie z sobą, przecież coś stanowczego począć ze mną zdecydowali. Ojciec zawołał mię do siebie i tonem poważnym w takie się ozwał słowa:

— Wicie! Przerosłeś już mnie, wąsa jeno co nie widać; jużeś chłop, co się zowie; czas by pomyśleć, co dalej będzie. Po polu na szkapie harcować, z ptaszniczki do wron strzelać i z innymi urwiszami na szable się rąbać, to dotąd uchodziło, ale teraz seryo pomyśleć trzeba o tem, co waść jeść będziesz i czem żebra szlacheckie okryjesz! W domu pozostać nie możesz, bo waść wiesz, że nie ma o co się zaczepić, i żem chudy pachołek. Dotąd jak było tak było, ale teraz trzeba się zacząć przegryzać przez życie i forytować do uczciwego stanu. Dam ci list do pani podczaszyny Żołyńskiej; choć dotąd nie była łaskawą dla chudej swej familii, to może, gdy ciebie samego obaczy, krewieństwa pamiętniejszą będzie. Nie żądam w liście żadnej jałmużny dla ciebie, ale sumituję się tylko pani podczaszynie dobrodziejce, aby cię wpływem swoim (bo ma znakomite i możne kolligacye) umieściła przy dworze jakiego magnata i pomogła do klamki pańskiej. Jest właśnie dobra okazya w te strony; sąsiad nasz, pan podsędek Orszyński, jedzie w te okolice, przysiędziesz się waść i dalej w świat za wolą Bożą!

Jak ojciec chciał, tak się stało. Opatrzono mnie jako takowo w drogę; ojciec sprawił mi

uczciwy kontusik i żupanik od święta, własny swój pas najlepszy i dość pokaźną szablinę darował, a do tego wszystkiego kilka, Bóg dobry wie, zkąd wydobytych czerwonych dorzucił; matka ukochana postarała się o bieliznę i drobniejsze potrzeby, i obdarzyła tem, co największym jest skarbem dziecka opuszczającego progi domowe — błogosławieństwem swojem serdecznem.

Przy rozstaniu żal trochę serce ścisnął i markotno było na duszy, i byłbym też zapłakał szczeremi łzami, gdybym się nie był wstydził ojca i pana podsędka, na którego wózku tę pierwszą wyprawę w świat Boży odbyć miałem. Matka moja, jako mnie miłowała bardzo, łzami mnie swemi oblała, a za jej przewodem i brat i siostrzyczka Hania od żałości głośno płakali. Co raz bardziej mi serce miękło, i byłbym może także uległ rzewności, osobliwie gdy mnie moja najmilsza siostrzyczka Hania drobnemi rączęty ujàwszy, z płaczem całowała — ale pan podsędek ruszyć kazał, i nim jedno *Ave Maria* ujechaliśmy, już mi zniknęły z oczu i strzecha rodzinna i matka droga, co długo za mną patrzyła, z daleka szląc mi błogosławieństwo.

Nie tyle podróż moja, co cel jej był mi nie do smaku. Nie miałem ochoty szukać pomocy u pani podczaszyny, która niedała nigdy rodzicom moim dowodu życzliwości i dobrego serca, i po której się zbyt miłego powitania nie spodziewałem; niemiałem też żadnej inklinacyi służyć u dworu magnackiego, trzymać się klamki pańskiej i aplikować się pod rygorem marszałka. Pani podczaszyna miała dobra nad samą granicą szlązką, a ta granica ćwiekiem mi się wbiła w młodą głowę. Ja, co nigdy prawie nie przekroczyłem granic swego powiatu, cuda sobie myślałem, co tam być może za granicami Rzpltej?

— A gdyby tak pójść za granicę, het w świat daleki? — pomyślałem sobie — tak szlakiem czterech wiatrów i kędy oczy i nogi poniosą?... Gdyby tak zamiast pokornie sumitować się wątpliwym krewieńskim affektom pani podczaszyny i szukać łaski pańskiej, próbować szczęścia na własną rękę, czy nie lepiej i nie weselej by to było?...

Młodemu i szalonemu łbu mało trzeba, aby się uczepił pierwszego lepszego konceptu, i fantazyi się oddał na ślepo. Po krótkich rozmyślaniach postanowiłem uciec panu podsędkowi przed samym celem podróży i hajże w świat za fortuną, za awanturami, za okazyą!... Nieszczęście chciało, że mi sam podsędek ułatwił wykonanie zamiaru. Na dwie mile przed wsią pani podczaszyny wypadało mu w podróży wziąść się w inną stronę a podwieźć mnie umyślnie nie było mu składnie, dał mi tedy informacyę, którędy mam się zwrócić aby pieszo dostać się do krewnej, pożegnał, napominał i na czystem polu zostawił.

— Tom ja teraz pan własnej woli! — zawołałem sam do siebie pełen animuszu — a świat cały stoi mi otworem? Bywaj zdrowa Jaśnie Wielmożna Pani Podczaszyno Dobrodziejko, obejdę się bez Jejmościnej protekcyi i sam się fortytować będę!

Owo nie pytałem się już teraz o drogę do krewnej, ale od przechodzących zasięgałem języka, którędy najbliżej do granicy. Za dwie małe godziny stanąłem nad granicą i z biciem serca chciałem ruszać dalej bez odpoczynku, gdy mi mijać przyszło karczmę, w której dziwne i ciekawe dla mnie bardzo odbywały się rzeczy.

Przed karczmą tą stała duża gromada chłopstwa, a najwięcej młodych parobczaków, i gapiła się na pół z lękiem, na pół z ciekawością. W sieniach ustawiono stół, a około stołu stali lub siedzieli ludzie dziwacznie ubrani. Ja co nie widziałem był dotąd nigdy w życiu wojska cudzoziemskiego autoramentu, nie mogłem się dość napatrzyć tym figurom.

Że byli żołnierze, to po jednakowym mundurze i po broni poznałem łacno, ale takich żołnierzy nigdy jeszcze nie widziałem. Było ich kilkunastu, a ubrani byli w niebieskie kabaty z czerwonemi ranwersami, w kamasze wysokie czerwone i w obcisłe pluderki. Przy bokach mieli krótkie szable, na głowach trójgraniaste kapelusze z kordonami srebrzystemi, a włosy pudrowane i w warkocze uplecione. Czterech z nich wygrywało na trąbkach i piszczałkach, a dwóch biło takt w brzękliwe tarabany, a tak chwacko, tak wesoło i huczno, że aż miło słuchać było. Pod stołem znajdowała się beczka z winem, a jeden z tych żołnierzy ciągle siedział przy czopie, ciągle do szklanic nalewał i zagapionemu chłopstwu podawał. Na stole leżała księga otwarta i kupa srebrnych talarów, nowiutkich i świetlistych, że aż za oczy chwytały, a jeden z gromady tej wesołej, ciągle niemi przerzucał, dodając brzęk srebra do odgłosu muzyki.

Chłopi patrzyli łakomym wzrokiem na wi-

no, na białe, świecące srebro, ale cofali się z niedowierzaniem i zdawali pasować się między lękiem a pokusą.... Od czasu do czasu jeden z żołnierzy, widocznie najstarszy z oddziału, dawał znak fajfrom i doboszom, aby przestali wycinać kuraty, i jedną ręką pobrząkując talarami a drugą wznosząc pełną szklanicę wina, głośno coś przemawiał, jakby chciał do czegoś zachęcić. Przybliżyłem się, aby posłuchać tej oracyi, ale z ciężką biedą tylko sensu jej dochwycić się mogłem.

— Dobrze jeść, dobrze pić, *immer lustig* żyć! — wołał ów drab najstarszy, który miał szlify srebrne na kołnierzu i takiż kutas przy furdymencie. — *Prystań, prystań na Kriegsman*, będziesz sobie wolny pan! *Zaj Majestet* król pruski werbuje do swojego sławnego wojska! To mi życie, to mi raj, bodaj takiemu królowi służyć lat sto i cztery tygodnie! Kabat piękny i złocisty, a pieniędzy huk; dla *soldata* nie trudno o dukata! Co będziesz miał? Wszystko! Co będziesz robił? *Nix!* Kto chce iść, niech się spieszy, niech da rękę, bo będzie płakał i żałował. Dziesięć *Thaler* do ręki!! Nowy, piękny, srebrny *thaler* — dziesięć takich *thaler* zaraz, a potem kopa, oko i tuzin! Jeden *thaler* — dzień! drugi *thaler* dzień! — trzeci dzień! *vier, fuenf, sechs, sieben, zehn*, Hurra-ha! *Werrrrbunk* dla Najjaśniejszego, najmocniejszego, najłaskawszego *Saj Majestet* króla od Prajzów! Frry-der-rryk! przyjaciel żołnierzy daje dziesięć talarów zaraz, mięsa ile zjesz; wódki, miodu, wina, piwa, ile wypijesz; melduj się, werbuj się! Dobrze jeść, dobrze pić, *immer lustig* żyć! *Eins*, *zwaj*! *draj*! *Musik*! *Bum*!!

Tu fajfry i dobosze poczęli znowu przygrywać, a ów starszy z srebrnym kutasem przy furdymencie zapraszał już teraz niememi giestami do stolika. Widowisko to całe ogromnie mnie zajęło; przecisnąłem się tedy przez gawiedź i stanąłem sobie tuż przed żołnierzami. Tak zagapiony patrzyłem ciągle na tę śmieszną komedyę, kiedy naraz ów drab z srebrnym bandoletem przystąpił do mnie, z przyjacielska uderzył po ramieniu i podał szklenicę wina.

— Mospan Polak! — zawołał nagląc, abym wypił. — Anu kamrad do kamrada! Wiwat! Niech żyje żołnierskie życie! W twoje ręce Mospan *Junker*!

Nie pytając wiele, co dalej będzie, wziąłem od Niemca szklankę i wychyliłem do dna. Niemiec mnie na to pod ramię, i na pół grzecznie prosząc na pół gwałtem ciągnąć, wiedzie do stolika, koło siebie sadza i znowu wina nalewa. Po drugiej szklance zaszumiało w młodej głowie, do żadnych trunków nie nawykłej; zaczął mi się podobać i ten Niemiec w kurcie z ranwersami i srebrnym bandoletem, i ci jego kamraci junaccy, i ta muzyka wycinająca wesoło na piszczałkach i tarabanach. Za drugą szklanką poszła trzecia, za trzecią czwarta i już nie wiele pamiętałem, co się ze mną robi. Ściskałem tylko każdego draba w kurcie niebieskiej serdecznie, a każdy z nich wzajemnie do błyszczących guzików mnie przyciskał, w twarz całował i *Brudder kamrad* nazywał; czułem jakby przez sen, że mi błyszczące srebrne talary pchano do ręki i muzyka przeróżne ochocze marsze wycinała.

— *Frrri-derr-r-rik*! *Bruder kamrad*! *Immer lustig*! *Musik*! — bełkotałem językiem, który mi się szalenie plątał po zębach, aż nareszcie straciłem przytomność z kretesem.

Nie wiem jak długo znajdowałem się w tym stanie, ale kiedy się z bólem głowy obudziłem, nie mogłem połapać myśli i wspomnień, które się po rozgorzałym łbie kręciły jakoby młyńcem. Domowa strzecha, podróż, rodzic mój, pan podsędek, pani podczaszyna Żołyńska, i cała hurma drabów w kabatach z czerwonemi ranwersami i z pudrowanemi warkoczami biegało mi przed oczyma, a w uszach szumiały ciągle fajfry i dobosze.

Przetarłem oczy, przeżegnałem się i począłem rozglądać się dokoła, gdzie jestem. Ujrzałem się na gołym tapczanie, w izbie brudnej i ciemnej. Do koła mnie na tapczanach lub pokotem na ziemi leżało kilkunastu młodych parobczaków, a przy drzwiach drzemał na zydlu jeden żołnierz w niebieskim kabacie z muszkietem w ręku. Porwałem się z tapczana i nuż szukać mego tłumoczka; daremnie! nie ma go koło mnie! Ani kontusza, ani żupanika z pięknej kwiecistej grodetury, ani szabelki blachmalowej, co mi ją ojciec darował, niema ani na oczy! Sięgam do kieszeni, niema mieszka z czerwieńcami, poszedł snać za żupanem i szablą!...

Mówię tedy do owego żołnierza, co siedział przy drzwiach na zydlu oparty na muszkiecie:

— Panie wojak! Zabawiłem się wczoraj z waszymi kamradami, pohulałem może za nadto ochoczo; teraz mi czas w drogę, muszę ruszać dalej; oddajcie mi mój tłumoczek i mieszek z

pieniędzmi i otwórzcie drzwi, bo mi tu duszno w tej izbie.

Żołnierz popatrzył na mnie, jakby nierozumiał, a potem śmiać się począł głośno i długo, aż nareszcie, ze szlązkiego akcentu zarywając, tak do mnie rzecze:

— Mospan Polak, już ty nasz, już ty kamrad i wojak pruski; tak ja ciebie teraz nie puszczę. Siedźże tutaj, aż pan lejtnant przyjdzie!

— A tóż co u licha, panie wojak! — zawołałem — to chyba żartujecie! Zabawiłem się tylko w wesołej kompanii i kwita! Puśćcież mnie w spokoju, niechaj sobie idę w moją stronę.

Wtedy ów żołnierz na pół ze śmiechem na pół z dobrocią, bo mu żal było może krwi młodej i niedoświadczonej, pocznie mi rozpowiadać, jako się wczoraj zawerbowałem do wojska pruskiego, jako mnie już wpisano na lat ośm do regestrów pułkowych, jako już teraz jestem za granicą na pruskim *hauptwachu*, jako wczoraj jeszcze przysiągłem przed chorągwią Jego Królewskiej Mości, Frydrykowi II, iż mu będę wiernie i walecznie służył, w pokoju i na wojnie, i na morzu i na lądzie, na murach i w otwartem polu.

Domyślacie się już tedy, że wpadłem w ręce werbowników pruskich. Trzeba wam też wiedzieć, że jako w naszej nieszczęśliwej Rzeczypospolitej rząd bywał jeno tak sobie od półtora nieszczęścia, a porządku i czujności za trzy grosze nigdy nie stało, to sąsiednie wojska, tak cesarskie jak pruskie, wysyłały werbowników nad granicę polską, i tu łapano, kto się pod rękę nawinął. Takich nieszczęsnych zwerbowanych Polaków, a osobliwie chłopów, bywało sporo w wojsku austryackiem i pruskiem, a pan generał Szybilski cesarzowi Rakuzkiemu cały prawie pułk ułanów wysztyftował z samych Polaków taką werbowniczą sztuką. Osobliwie podczas wojny cudzoziemscy werbownicy lud nam z nadgranicznych okolic srodze podkradali.

Owo takim to kształtem dostałem się do pruskiego wojska. Nie będę wam tu opowiadał trudnych początków w tej surowej szkole, ani też przygód przeróżnych, których między obcymi zażyłem — bobym ani dziś ani jutro może nie skończył. Kiedyś i na to przyjdzie czas; jeźli Bóg trochę życia jeszcze dozwoli, to wam dziad wszystko rozpowie. Dość powiedzieć, że sroga była mi dola w pierwszych czasach; ciężka i trudna i biedna, że jej żadnemu wrogowi przebywać bym nie życzył. Oj, uczyliż mnie Niemcy wojaczki, uczyli! opłakałem gorzko mój muszkiet żołnierski! Ano co było robić i jak się ratować? Ucieknę, to złapią, a po *krygsrechcie* w łeb palną bez pardonu. Bóg wysoko, do domu daleko, a nad karkiem rygor i dyscyplina, ani pisnąć — czuj duch! i kwita.

Bywało między tymi Niemcami taka mnie żałość serdeczna weźmie za rodzinną ziemią, taka rzewność duszna za familią, że serce się padało formalnie, ale cóż było robić! Wiele biedy przyschło na człowieku, a w końcu i dusza jakoś niby stwardniała, i już mi tam wszystko za jedno stało. Po dwuletniej biedzie nauczyłem się po niemiecku tak gładko, że językiem tym mówiłem jakobym go znał od dzieciństwa, a regulament, musztrę i służbę na palcach się umiało. Po długich prośbach i zachodach, przenieśli mnie do kawaleryi, do której zawsze serdeczną miałem inklinacyę, bo szlachcicowi zawsze markotno służyć w piechurach, muszkiet dźwigać i w kamaszach chodzić. Przy kawaleryi zostałem *wachmajstrem*, to jest podoficerem, i już mi odtąd jakoś lżej było w tym żołnierskim stanie.

Do rodziców w pierwszym roku pisałem razy kilka, ale żadnego responsu nie otrzymałem nigdy. Zapominałem też o nich, a gdy na dobitek będąc za kupnem koni pułkowych pod samą granicą polską, spotkałem tam jakiegoś ekonoma z okolic moich rodziców, a ten mi powiedział, że kiedy tam nastał, już po Najwojach i śladu nie było, pożegnałem się w myśli z familią na wieki.

— Bóg wie, co się z nimi stało — myślałem sobie — ojciec i matka może pomarli, Andruś i Hania gdzieś u obcych ludzi się wysługują, a ja biedny żołnierz z lichego żołdu dyszę, a jak to porzucę, to z biedy zginę, a rodzeństwa nie wynajdę; a choćbym i wynalazł, to co im pomogę?

Tak minęło cztery lata. Człowiek miał, nie chwaląc się, wiele wrodzonego sprytu; młoda głowa rychło wszystko pojmowała, a tak poduczywszy się wojennego rzemiosła dobrze, zostałem nareszcie oficerem. Oberszter mój, graf Koggeritz, polubił mnie nawet dosyć i nieraz innym lejtnantom na wzór służbistości dawał. Był to srogi człowiek, tyran okrutny, żołnierz surowy i ostry; od mistrzów krzyżackich prozapyą swoją wywodził i krzyżak też z niego był, od stu kaduków! Ja też służbę pełniłem pun-

ktualnie, jak machina, a srogość przejąłem od starszych, i jako oni mnie. tak ja mych subordynowanych jakby kleszczami za łeb trzymałem.

Już to Bogiem a prawdą mówiąc, tacy my już wszyscy Polacy, że dopiero w obcej szkole ćwicząc nas w karności i do surowego posłuchu zaprawiają. W domu, pożal się Boże, porządku za grosz, respektu za złamany talerz; każdy sobie pan, każdy sobie król i wojewoda, nikt nie słucha a każdy rozkazować rad i gotów zawsze.

Czyś hetman, czyś towarzysz; już ty sobie w Polsce własny pan; każdy tam kapitan a dragana nie ma, nic nie idzie w ład, ten do Lasa, ten do Sasa, o posłuszeństwie ani mów szlachcicowi. Ale niechno pana brata wezmą w dyscyplinę niemiecką, pod muszkiet i feldmycę, ano zaraz co za przemiana! Tańcujże Polaczku, jako ci grają! Jak go ścisną żelazną dłonią, zaraz z niego najsurowszy i najkarniejszy żołnierz, najsłużbistszy i najstateczniejszy oficer. Tak to my Polacy sobie samym najgorzej, a obcym tylko służyć umiemy.

Ale owo odbiegam od rzeczy. Wracając tedy do mojej opowieści, miasto dłużej mówić o moich dalszych kolejach przygodach, powiem tylko otwarcie, że spędziwszy tak kilka lat między Prusakami zmieniłem się z gruntu całej duszy, i nawet rodzona matka byłaby się do mnie nie przyznała. Człowiek zniemczał, zprusaczył się, złutrzył z kretesem. Już się i polskiego języka było nieco zapomniało, bom ustawicznie szwargotał tylko po niemiecku. O kraju rodzinnym i pamięć w sercu zda się wygasła a o wierze katolickiej, w której się urodziłem niepoczciwie zapomniałem. Przez całych ośm lat naonczas nie spowiadałem się ani razu, nie przystępowałem do Najświętszego Sakramentu, a całe nabożeństwo na tem polegało, że się z komendą i w paradnym ordynku chodziło niekiedy do protestanckiej kirchy.

Dziś mnie starego groza przejmuje, gdy wspomnę, jak sromotnie i szpetnie zmieniłem się na pruskim żołnierskim chlebie. Ale takie to musiało być tam życie, gdzie człowiek nie znał innego Boga nad króla, innego przykazania nad honor wojskowy i kawalerski, innej wiary nad chorągiew, innego pana nad obersztа, innego prawa nad regulamenta i krygsrechty! Wszyscy tak żyli, więc i ja, com był maluczkiem ziarnkiem piasku w tem wielkiem morzu. Dzisiaj jeszcze mrówie mnie obiega na myśl, że żyjąc w tak bezbożnym stanie, a bywając ciągle w rozmaitych bardzo krwawych potrzebach, gdzie tysiące padały, gdyby dopuszczenie Boże było mi kazało paść od kuli, byłbym wyzionął ducha jako poganin a nie katolik i szlachcic polski.

A śmierci nie szukać było wtedy. Służba moja wojskowa przypadła w samę ową zaciętą wojnę, która z przerwami całych siedm lat trwała, a w której tłuc się było potrzeba z wszystkiemi niemal nacyami, z Rosyanem, Francuzem, Sasem i z cesarskimi. Byłem w kilkudziesięciu może rozmaitych potyczkach i bitwach, ale zawsze z nich człowiek za dziwnem zmiłowaniem Bożem cało swe kości wyniósł. O mniejszych ranach nie mówię; płatnął kto po gębie lub po karku, to i przyschło, rozpruła kula udo, to felczer ją wyjął i zaszył ciało — a z lazaretu człowiek uciekał jak najrychlej było można, bo tam srożej jeszcze nędza biła, niż na polu w obozie.

Owoż pod sam jakoś koniec tej wojny zawziętej i krwawej, w której król Fryderyk odgryzał się z sukcesem swoim przeciwnikom, i z tych srogich opałów obronną, ba nawet zwycięzką wyszedł ręką; tak na krótko przed samym ostatecznym pokojem, *anno Domini* 1760 posunęli nasz regiment pod samą granicę polską. Mnie z moją chorągwią postawiono kwaterą w maleńkiej mieścinie, a że wojna jeszcze się toczyła, więc byliśmy w pogotowiu i lada chwilę na plac boju pójść mieliśmy. Pewnego dnia zaciągłem z moimi ludźmi *hauptwach*, gdy przysłano do mnie z kwatery jeneralnej, abym z silną strażą stawił się po więźnia wojennego, nad którym właśnie starszyzna krygsrecht odbyła.

Spełniłem rozkaz i odebrałem więźnia. Nakazano mi surowo, abym go strzegł na *hauptwachu*, jak oka w głowie, albowiem przestępca jest wielki, i jako na rozstrzelanie skazan, pozajutro stracony być ma według *krygsrechtu*. Był to oficer saski (a trzeba wiedzieć że z Sasami byliśmy także w wojnie,) który chciał się przedrzeć przez forpoczty pruskie, a przytrzymany bronił się i oficera ciężko ranił. Posądzono go o zamiar szpiegostwa i krótką sprawą, sądem wojennym, na śmierć skazano.

Wojna sroga i ciągły widok śmierci, która mi nieraz z bliziutka oko w oko łypnęła, zahartowały mię jak żelazo, i dusza moja nie była

już przystępna żałościom i miłosierdziu, a przecież markotno mi się zrobiło, widząc tego skazańca. Młoda krew, chłopak urodziwy i dzielny, aż miło patrzeć, młodszy jeszcze odemnie, a takiego jakiegoś wdzięcznego wejrzenia, że mimowolnie serce ku sobie inklinował.

Ale służba służbą, a mój żal nic tu poradzić nie mógł. Odwiodłem tedy nieboraka na *hauptwach*, zamknąłem w izbie z zakratowanemi oknami, sam klucze do kieszeni wziąłem i dwóch żołnierzy na warcie postawiłem. Że mnie ciekawość zdjęła, co zacz był ten oficer, zaglądnąłem do pisma, które mi wraz z nim oddano w *krygsrechcie*. Jakież było moje zdziwienie, kiedy wyczytałem, że jest Polakiem, nazywa się Józef Rotnicki i jest unterlejtnantem w dragonii Jego Mości Kurfuerszta saskiego. Teraz już na prawdę żal serdeczny poczułem, boć to i rodak mój był i chłopiec młody i piękny, jak jagoda, i żyć mu było tylko na bożym świecie a nie ginąć marną śmiercią od muszkietów pruskich.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

KRÓLOWA SÓW.

(Ciąg dalszy.)

— Przyjmij dzięki nasze, ale zarazem i prośby nasze, szlachetny człowieku, — zawołała z płaczem zraniona pani. — Wybaw nas z okropnej niedoli, w której dni nasze pędzić musimy. Przeklęte od własnej matki, tułamy się już przeszło dwa tysiące lat w tych okolicach, czekając daremnie wybawienia. Nasza ciotka była sławną królową za dalekiem morzem. Chciałyśmy jej wydrzeć królestwo, którego ja miałam kiedyś zostać dziedziczką. Lecz nasza matka chcąc odwieść nas od tego niecnego zamiaru, pilnowała siostry w dzień i w nocy. Przypadkiem przemieniły swe posłanie, a my potwory zraniłyśmy własną matkę! Przekleństwo matki wygnało nas w te północne lasy, a szpilka, którą ją zraniłam, pozostała na wieki w mem oku. Przemienione w sowy, jednę tylko miałyśmy wolną godzinę w samo południe, w której naszą ludzką postać przybrać nam było wolno. Bolesną tę ranę musiałam cierpieć przez te wszystkie lata. Ty wybawiłeś mnie z tego za zrządzeniem Opatrzności, lecz dopomóż nam jeszcze dalej i wybaw nas dokładnie, byśmy się mogły połączyć z naszemi krewnemi na innej planecie! Przedstaw się królowi Sobieskiemu, który właśnie wybiera się na wojnę z Turkami, i ofiaruj mu twą pomoc w tej walce. Staraj się walczyć przy jego boku i każde niebezpieczeństwo oddalać od niego. Jeden z baszy tureckich uderzy morderczą bronią na króla. Rozpłataj mu głowę i weź mu sztylet, który na złotym łańcuchu wisieć będzie przy jego boku. Ten sztylet nosiła matka moja zawsze przy sobie i od niego to zawisło nasze całkowite wybawienie. Lecz niepokonasz inaczej twego przeciwnika, tylko gdy zrobisz w powietrzu bronią twoją święty znak krzyża, zanim uderzysz na niego, bo przed tym znakiem tylko znika tajemnicza siła tego sztyletu. Lecz nie daj się przez nic zatrzymać w twej drodze, ani przez przyjaciół, ani przez nic w świecie. Spiesz się i ocal nas.

Bogusław dał słowo honoru, iż pobieży bez zwłoki do króla Jana, pójdzie z nim na wojnę i zdobędzie kosztowny skarb baszy tureckiego. Przed podziemnem mieszkaniem znalazł swego osiodłanego wierzchowca, wsiadł na niego i udał się prostą drogą przez lasy i pola do zamku króla Jana. Rany Bogusława zgoiły się były przez ten dzień spędzony w podziemnem mieszkaniu, jechał więc pełen słodkich nadziei, iż gdy spełni życzenie zaczarowanych księżniczek, one dopomogą mu może do wynalezienia Urszuli. Gdy wyjechał z boru ujrzał nad drogą siedzącą na kamieniu mło-

dą wieśniaczkę, nędzną i wybladłą, która błagalnie wyciągała ręce ku niemu. Jej rysy zdawały mu się znajome i jakaś dziwna niespokojność przeszywała jego duszę. Zaledwie ujechał kawałek drogi, przypomniał sobie, że to była Urszula. Wahał się długo pomiędzy powinnością chrześciańską, wiarą małżeńską i słowem honoru. Już chciał nawrócić konia, bo wiara małżeńska przemogła wszystkie inne uczucia w sercu jego, gdy stado sów zleciało się około niego i taki wrzask i zgiełk robiły, iż mu się w głowie pomięszało. Po kilku chwilach zniknęły wszystkie, a on ujrzał na głowie swego konia przypięty papier, na którym było napisano: „Nie troszcz się o Urszulę, na nią czeka los szczęśliwy".

Spojrzał raz jeszcze za swoją żoną, lecz znikła już była wśród lasu, jednakże nadzieja możebności odzyskania jej kiedyś, dodała mu odwagi do dotrzymania obietnicy danej zaczarowanej księżniczce.

Król Jan III. przyjął Bogusława bardzo łaskawie, pochwalił go, iż powrócił z dalekiej podróży, by iść walczyć przeciwko niewiernym i dozwolił mu zostać przy sobie. Pełen odwagi szedł śmiały wojownik obok swego króla na pole chwały. Wkrótce rozpoczął się bój krwawy, który miał rozstrzygnąć los całej Europy. Bogusław niecierpliwie oczekiwał chwili, gdzie miał stanąć w obronie swego króla, gdy wtem jeździec turecki w bogatym stroju uderzył silnie na tegoż. Był to ów tak gorąco oczekiwany basza. U jego boku błyszczał zaczarowany sztylet. Lecz ujrzawszy Bogusława, zwrócił swego konia, bo mu raz wróżka powiedziała, iż się ma strzedz jeźdźca na bułanym koniu; a gdyby się ten przypadkiem dostał w moc jego, ma się z nim obchodzić jak najlepiej. Gdyż ten znać będzie wszelkie przymioty jego starożytnego sztyletu, i może przez to stać mu się bardzo użytecznym.

Bogusław, który miał właśnie bułanego konia, udał się w pogoń za baszą. Musiał wydrzeć mu teraz sztylet, bo nie mógł liczyć na to, by mu się lepsza zdarzyła do tego sposobność. Basza powrócił do swych żołnierzy i przejeżdżał się spokojnie przed frontem, gdy wtem ujrzał się natartym przez jeźdźca na bułanym koniu. Szczęk broni zajęknął, iskry pryskały z twardej stali, lecz długo żaden z walczących nie mógł odnieść zwycięztwa. Teraz przypomniało się hrabiemu, iż miał uczynić znak krzyża. Ale i pomimo tego nie mógł na żaden sposób ugodzić w głowę niewiernego. Wtem tentent koni i dziki okrzyk wojenny oznajmił hrabiemu o grożącem mu niebezpieczeństwie.

Przejęty ważnością posłannictwa swego walczył hrabia nadnaturalną walecznością. Basza wezwał go, by się poddał, lecz takiej hańby znieść nie mógł Bogusław, wolał raczej sprzedać drogo życie swoje. Dowódzca Turków przemówił do swoich kilka słów po turecku, a Bogusław uważał, iż odtąd starano się tylko zmęczyć go, a nie zabić. Po długiej walecznej obronie siły go opuściły i upadł omdlały na ziemię. Bez trudności odebrano broń jego. Upadając zdało mu się iż widział miecz baszy błyszczący nad jego głową. Lecz basza ugodził nim tylko konia Bogusława, który z nadprzyrodzoną wściekłością nacierał na niego. Bogusław zaś został przywiązany na konia i odesłany do obozu baszy.

Przyszedłszy do zmysłów, ujrzał się oswobodzony z więzów w pięknie urządzonym namiocie. Przy otomanie pokrytej kosztowną makatą, stał stolik najprzedniejszemi zastawiony potrawami, któremi posilił się chętnie osłabiony hrabia. Po kilku godzinach wypoczynku został przywołany przed baszę, który mu opowiedział o wyroczni tyczącej się zaczarowanego sztyletu.

— Darowałeś mi życie, — rzekł jeniec poważnie, — byłoby to niegodnie z mej strony, gdybym cię chciał uwodzić kłamstwami. Wiedz więc, iż dałem słowo honoru, że niepowrócę do mej ojczyzny, dopókąd sztylet twój nie będzie w mej mocy. W krótkim tym czasie poznałem szlachetność twego umysłu, dopełnij więc swego dobrego czynu i oddaj mi dobrowolnie twój sztylet, który jest niezbędnie potrzebnym do wybawienia wielu nieszczęśliwych. Nie pytaj o więcej i oddaj mi mą wolność.

Basza spojrzał nań okiem iskrzącem od gniewu i oddalił się w milczeniu.

Tak przepędził Boguslaw pół roku w niewoli. Od czasu do czasu ponawiał basza swoje wezwanie. Nakoniec jednego dnia kazał przywołać go znowu i rzekł:

— Daję ci jeszcze cztery tygodnie namysłu. Jeżeli mi w przeciągu tego czasu nie wyznasz wszystkiego co wiesz o tym sztylecie, czeka cię śmierć niechybna.

Potem odjechał basza w daleką podróż. Bogusław był sobie sam zostawiony i byłby łatwo mógł ratować się ucieczką, bo straże tureckie były zwykle pijane, lub też łatwo przekupić by się były dały. Lecz młody hrabia byłby sobie miał za hań-

bę uciekać bez sztyletu. Czekał więc, czy mu się nie zdarzy sposobność wymódz to na baszy rycerskim czynem lub też siłą namowy. Basza odjeżdżając dał rozkaz wszystkim dworzanom, by się jaknajuprzejmiej obchodzili z jeńcem, ale starali się ile możności wydobyć z niego tajemnicę tyczącą się sztyletu.

Bogusław lubił przebywać w ogrodzie, w cieniu rozłożystego buku, i tam śpiewaniem ojczystych piosnek skracać sobie chwile tęsknoty za rodzinną ziemią. Gdy tak jednego ranka siedział w tych miejscach, obstąpiło go nagle dziesięć ślicznych dziewic, które wśród piosnek i tańców zachwycających wieńczyły go kwiatami i podawały mu w złotych puharach najkosztowniejsze wina, lecz przytem usiłowały dowiedzieć się od niego o własnościach sztyletu. On rozmawiał z niemi uprzejmnie, przetańczył nawet kilka razy mazurka, ale tajemnicy wyłudzić z siebie nie dał. Te przyjemne napady ponawiały się co dni kilka, lecz wszystkie zostały bezskutecznemi.

Znudzony tem wszystkiem Bogusław, rzekł do nich razu jednego:

Moje panie, szanuję was bardzo, i żadna moc w świecie nie zdołałaby mnie przywieść do złamania raz danego wam słowa. Lecz tak samo szanuję także owe panie w mojej ojczyźnie, którym przyrzekłem, iż zdobędę ich sztylet. Gdy go będę miał w mojej mocy, wtenczas odkryję wam dopiero ważną tajemnicę jego własności.

Basza powróciwszy poszedł sam do jeńca w towarzystwie kilku Turków, i zapytał go po raz ostateczny o tajemną siłę sztyletu.

— Wiecie, — odpowiedział Bogusław, — iż dałem słowo honoru nie powrócić bez sztyletu. Tajemnicę, która do niego jest przywiązaną, objawię wam, gdy go drogą pojedynku zdobędę. Wyznaczcie jednego z waszych najlepszych wojowników, i niechaj się z mieczem w ręku stawi naprzeciw mnie. Jeżeli ja pierwszą odbiorę ranę, rozsądzajcie podług upodobania mem życiem lub odeślijcie mnie okrytego hańbą do ojczyzny; jeżeli zaś mój przeciwnik pierwszy zranionym będzie, wtenczas sztylet będzie moim, i odeślecie mnie aż do granicy.

To przedstawienie zostało z szyderczym śmiechem przyjęte; przyprowadzono Turka olbrzymiej wielkości, który podług ich mniemania, pokonać miał od razu śmiałego cudzoziemca. Bogusław musiał w zapieczętowanym liście spisać własności sztyletu, gdyby śmierć zaskoczyła go tak nagle, iżby ich opowiedzieć nie był w stanie; sztylet zaś leżał w pogotowiu na aksamitnej poduszce.

Bój się rozpoczął i po kilku chwilach trysnęła krew z szerokiej rany na piersiach olbrzyma. Była więc sprawa rozstrzygniętą, lecz Turcy ozwali się z gwałtownym krzykiem:

— Dalej, dalej, jeden musi legnąć na placu! -- Gdyż nie tracili zaufania w niezmierne siły olbrzyma.

Po dwugodzinnym zaciętym boju, zakończyła ogromna rana na czole olbrzyma to widowisko straszliwe. Straszliwy przeciwnik Bogusława upadł, wydając jęk śmiertelny. Oswobodzenie jeńca zostało głośno wywołanem, a ten schwycił z tryumfem zaczarowany sztylet.

Basza wziął teraz list, przeczytał go ciekawie, położył go na bok ze smutkiem, bo teraz poznał dopiero co stracił w swoim sztylecie. Potem ponowił obietnicę odesłania go aż do granicy i zaprosił go na ucztę do siebie.

Wieczór nadszedł; zwycięzca widząc na uczcie tylko zazdrosne twarze około siebie, oddalił się do swego pokoju, by wypocząć po poniesionych trudach. Wszedłszy, spostrzegł za oknem siedzącą wielką sowę, która głośnem pukaniem w okna oznajmiała, iż chce być wpuszczoną. Bogusław otworzył okno. Ona wleciała szybko i przez rozmaite oznaki okazywała radość, iż została wpuszczoną. Młody hrabia przypatrując jej się przy świetle lampy, znalazł, że miała u nogi przywiązaną karteczkę, na której były napisane te słowa:

„Dziś w nocy chcą cię zamordować; spuść się więc po sznurze, który znajdziesz przymocowany do okna, i uciekaj spieszno. Lecz wprzódy przypasz miecz, który znajdziesz w przyległym pokoju, i przywiąż na nici sowę do twego pasa i idź w stronę, którą ona ci wskaże, a tak dojdziesz niebawem do granicy". (Dokończenie nastąpi.)

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO.

CZĘŚĆ PIERWSZA:

ZAMEK CARROW.

(Ciąg dalszy.)

Dotychczas jednak ani klucznica, ani piwniczy, ani ayah, nie udzielali swoich domysłów baronetowi. Pierwszych wstrzymywało uszanowanie, ostatnią zaś nienawiść. Ayah uważała bowiem baroneta za jedyną przeszkodę powrotu Elleny do Indyi, powrotu, którego tak gorąco pragnęła. Jego oziębłość przejmowała ją dreszczem, jego zamknięcie w samym sobie, poczytywała za pychę; ponura wspaniałość Opactwa zdawała się ją przytłaczać; mniemała, że w grobie mieszka, i tęskno wzdychała do rozpromienionego nieba i rozkosznego, ale zupełnie zmysłowego życia w swojej rodzinnej krainie, gdzie kobiety uważane jak bożyszcza, bywają uwielbiane zmysłami, ale nie duchem.

To zaślepienie sir Williama nie było ani skutkiem obojętności dla siostrzenicy, ani pochodziło z braku przenikliwości, ale z innej przyczyny. Miłość od tak dawna już przestała gościć w jego sercu, że mało z niej śladów pozostało, oprócz cierpień boleśnie doskwierających, które w nim zostawiła ta silna namiętność. Dopóki kolce zostają w ranie, drażniąc ją dotkliwie, zdaje się to rzeczą bardzo łatwą do pojęcia, że wtedy zapominamy o woni zachwycającej kwiatu, i nie myślimy o tem, że inni podobnież tym urokiem zwabić się dadzą.

Oboje kochankowie — chociaż bezwiednie, kochali się już nawzajem — znajdowali się w parku, podziwiając wspaniały zachód słońca, czarowny, jakby na włoskiej ziemi, tak śliczną była światłość ozłacająca jeziora i wzgórza, tak świetne barwy, które nadawała zieloność! Oboje byli zbyt szczęśliwymi, by przerywać ten urok wyrazami, któreby nie były szczerem odbiciem ich myśli. Powietrze przesiąkłe wonią tysiąca kwiatów, które zaledwie pochylały się pod jego tchnieniem, tak było czyste i spokojne, że można było wyraźnie słyszeć brzęczenie komara lub pszczoły, wracającej do celi ze swą zdobyczą.

Ale chociaż młodzi ludzie zachowywali milczenie, serca ich przemawiały tym pociągiem, który oboje ku czarującej przyrodzie doznawali. Oczy ich były wymowne; bo zaledwo jedno z nich postrzegło nowy urok w zachwycającym krajobrazie, wzrokiem oznajmiło to natychmiast drugiemu, by się z nim podzielić doznawaną przyjemnością.

U Elleny szczęście to było czyste i niczem nie zamącone, jak jej niewinność dziewicza. Jeżeli uczucia jej były głębokie, były zarazem spokojne jak jezioro osłonione wzgórzami przed ostrym powiewem burzy. Nie tak się rzecz miała z jej towarzyszem; jego szczęśliwość, obawą na przemian była zakłóconą. Chwilami smutne widziadło przyszłości zjawiało się wśród kwiatów zdobiących teraźniejsze istnienie i zda-

wało się szeptać mu do ucha: — To trwać nie może! to sen! to przywidzenie! to szaleństwo!

W niejakiej odległości stała ayah, szpiegując ich. Niepokoiła ją nieobecność jej dziecka, jak dotąd jeszcze nazywała miss de Vere, wyszła więc szukać jej, wziąwszy z sobą szal pod pozorem ochronienia Elleny przed chłodem wieczornym. Przypatrując się im z daleka, musiała Indyanka przyznać w duchu, że to była śliczna para. Ale Miran, równie jak Ellena, był przez nią wypiastowany. Kochała ich oboje zarówno, i postanowiła połączyć ich, aby z nimi do Indyi powrócić.

Rzadkie to było zdarzenie, aby zamysły Zary nie osiągnęły pożądanego skutku.

— Kochają się, — szeptała sama do siebie, — czytam to w ich oczach, w ich milczeniu, w ich zamyśleniu. Gołąb zraniony niemym bywa; śpiew ożywiający lasy, jest głosem ptaka, którego jeszcze strzała myśliwca nie ugodziła. Do czegoż to doprowadzi? Jednemu z nich może śmierć przyniesie, a nieszczęście obojgu, to rzecz pewna!... Moja wychowanka, żoną kmiecia! — rzekła z pogardą, — gdy najzacniejszy młodzian indyjski pragnie jej ręki. Nigdy! nigdy do tego nie przyjdzie, nie Elleno! Tak młode orlę, może tylko z równem sobie wejść w związek, albo uwiędnąć w osamotnieniu i zapomnieniu!

Chcąc ich jak najuważniej i najdłużej śledzić, ayah stała nieruchomie jak posąg w świątyniach jej ojczyzny, wlepiwszy wzrok zimny i ponury w tę młodą parę, nad której losem zdawała się władać i ubolewać.

— To widok wspaniały, prawda, miss de Vere! — zawołał młodzieniec, pierwszy raz przerywając milczenie. — Bez wątpienia brakuje tu śmiałych zarysów krajobrazu indyjskiego, z jego wdzięcznie wysmukłemi palmami, bujną roślinnością, dziewiczemi pagodami i słońcem bezchmurnem; piękność tej strefy ma w sobie, że tak powiem, charakter poważniejszy i bardziej ponury; więcej do oczu, niż do serca przemawia; nie zachwyca jak tamten, ale więcej budzi zajęcia.

— W tych kilku słowach skreśliłeś pan cechy odróżniające te dwie krainy, — rzekła Ellena, — myślećby można, żeś zwiedzał Indye!

— Czytałem niejednokrotnie opisy tych pysznych okolic, — odpowiedział Henry rumieniąc się; ale zapomniał dodać, że te opisy dopiero od chwili, jak poznał swą lubą towarzyszkę, zaczęły go tak mocno zajmować.

— Może pan masz zamiar odbyć podróż na Wschód? — odezwała się Ellena.

— Nie wiem, odparł młodzieniec, tem zapytaniem z marzeń swych przebudzony. — Jestem jak łódź bez steru i kompasu, rzucona na igraszkę wiatrów i fali. Mogę być rzucony na jaki brzeg pusty, gdzie nawet drzewa nie będzie, abym pod jego cieniem schronił serce stroskane!

A może na jaką wyspę pełną zieloności, gdzie pan znajdziesz szczęście i błogą rozkosz! Wstydź się! Henry! dla czegoż wątpisz o łasce Opatrzności, i o własnej sile?

— To nie siły mi brak, — szepnął młodzieniec namiętnie, — ale pewności... Pomiędzy mną a celem mych dążeń, widzę zaporę nie do przebycia, i dla tego tracę odwagę i nadzieję wszelką, abym ten cel osięgnął!

— Zaporę do nieprzebycia? mówisz pan.

— Tak jest, bo zaporę tę postawiły i utrzymują silne przesądy świata, różnice stopni w społeczeństwie, śmieszne drobnostki sztucznego życia... jednem słowem, różnica kast społecznych.

Teraz z kolei Ellena się zapłoniła; chociaż Henry nie robił wyraźnego zastosowania do niej osobiście, zrozumiała to jednak doskonale.

Zdumiewająca to rzecz, jak umysł staje się przenikliwym, skoro serce ma w tem udział.

— Obawiam się, — rzekła po chwili milczenia, które dla obojga było kłopotliwem, — że wskutek piękności tego wieczora, za daleko naszą przechadzkę przeciągnęliśmy; już ściemni się, nim do domu przybędziemy.

— To wyrzut dla mnie! — pomyślał Henry z westchnieniem. — Zrozumiała mnie... może ją obraziła moja zarozumiałość? Gdyby był mógł czytać w sercu Elleny, jakże prędko smutek jego ustąpiłby przed najsłodszą radością!

Drżał bowiem jak gołąb przelękniony, zgadując myśl przy tych słowach.

W tej chwili ayah wychodząc z swojej kryjówki, zkąd ich podglądała, stanęła nagle przed nimi. Ale pomimo przenikliwego wzroku, który na nią rzuciła, Ellena nie okazała żadnego znaku zmięszania ani przestrachu.

— Zara! — rzekła tonem zadziwienia.

— Rosa wieczorna opadnie wkrótce, —

rzekła Indyanka podając jej kosztowny szal kaszmirowy.

— Nie będzie mi potrzebny, — odparła ozięble, — możesz wrócić do domu.

I przyjmując ramię swego towarzysza, zwróciła się ku zamkowi. Powtarzane częstokroć oskarżenia piastunki, która jej wyrzucała miłość względem Henryka Ashton, obraziły dumę Elleny. Domyśliła się zaraz, że szal służył jej tylko dla pozoru, aby ją śledzić, i po raz pierwszy, ta piękna i szlachetna dziewczyna dała uznać Zarze różnicę ich położenia w społeczeństwie, chociaż ten gwałt zadany wrodzonej dobroci jej serca, sprawił jej równą boleść jak piastunce.

Ayah stała chwilę jakby skamieniała na miejscu; czarne jej oczy zaiskrzyły się gniewem. Ale wkrótce zalały się łzami, i lepsze myśli zajęły miejsce rozjątrzenia.

— Ma słuszność! — zawołała, — duma jej przystoi. To rzecz naturalna, żeby służebnica przez panią upokorzoną została... za moje usługi mi płacą, ale nie za miłość moją, — dodała z dumą, prostując swoją wyniosłą postać. — Żadne złoto nie opłaci, ani troskliwości, z jaką ją w dzieciństwie pielęgnowałam, ani macierzyńskiego przywiązania, jakiem zawsze ku niej pałało moje serce. Ssała pokarm z tego łona, które dziś tak dotkliwie zraniła, bo matce jej przyroda odmówiła najsłodszego przywileju macierzyństwa, wykarmienia swoją piersią jedynego dziecięcia! Lecz muszę ją ocalić... uratować przed jej własną nieoględnością! Nierozsądne to dziewczę może mnie łajać, ale żona Miran-Hafaza kochać mnie i dziękować mi będzie kiedyś!

Zbliżając się do zamku, Ellena i jej towarzysz spotkali jednego z domowników w towarzystwie Joego Beans, parobczaka z folwarku Ashtona, tego samego, który uczestniczył w owem polowaniu na bekasy, które nastręczyły Henrykowi sposobność zbliżenia się i uczęszczania na nauki do rektora.

— Oh master Harry! — zawołał uradowany chłopak, — jakże się cieszę, że cię spotykam; smutne rzeczy dzieją się u nas na folwarku.

— Czy mój stryj zachorował?

— Nie, mniemam raczej, że jest zmartwiony, nie słaby. Jejmość płacze bez ustanku, a jegomość pobladł i posmutniał; jeszcze nigdy nie widziałem ich tak zmartwionych, chyba wtedy, gdy syn adwokata Impey powiedział im, że widział łódź rozbitą w przylądku Carrow.

— Cóż się więc stało? — zapytał niecierpliwie Henryk.

— Tego nie umiem ci powiedzieć, master Harry, chyba, że to skutek listu przybyłego z dalekich, obcych krajów. Dick Mayer, listonosz, powiedział, że ten list z Indyi. Gospodarz przysłał mnie z prośbą, abyś wracał zaraz do domu, master Harry. Wziąłem starą klacz, a dla ciebie tego ogierka.

— List z Indyi, cóż to ma znaczyć? — W pierwszej chwili młodzieniec pomyślał o swoim ojcu, który od lat kilkunastu nie zgłaszał się wcale. Czyż to on miałby nareszcie przerwać to niepojęte milczenie?

Ponieważ Joe powierzył konie opiece starego Marcina, musieli przed wyjazdem na folwark, wstąpić do zamku. Henry Ashton odprowadził więc swoją towarzyszkę do sir Williama, który ich oczekiwał na trawniku przed mieszkaniem.

— Nie żądam tłumaczeń żadnych, mój młody przyjacielu, — rzecze doń baronet, gdy młodzieniec przyprowadził mu Ellenę. — Pamiętaj tylko na to, że jeżeli wydarzyło się co takiego, gdzieby moja pomoc przydać się mogła, abyś bez zwłoki do mnie się udał. Spodziewam się, że jutro rano tu będziesz, albo mi dasz znać o sobie.

Henryk wyrzekł kilka słów dziękczynienia, które nawet zbyteczne były, bo sir Mowbray znał jego poczciwe serce. Nie omieszkał dodać, że nazajutrz za najpierwszy obowiązek poczyta sobie przyjść jak najprędzej do zamku.

Za chwilę nasz młody bochater pędził z pospiechem aleą od zamku przez zwierzyniec na błonie prowadzącą, a za nim wierny Joe, trzymający się ciągle w pewnej odległości od niego w dowód uszanowania, aż minęli domek stróża zamkowego. Młody jego pan bowiem, od czasu, jak go Joe widział ściskającego się za rękę z prawdziwym baronetem, wzrósł ogromnie w jego opinii.

Sir William Mowbray ścigał wzrokiem oddalającego się młodzieńca z jakiemś współczuciem, którego powodu wytłumaczyć sobie nie umiał. Tak prędko Henryk zaskarbił sobie jego względy.

— Chodź, Elleno! — rzekł wreszcie, —

wejdźmy do domu, już rosa wieczorna padać zaczyna.

Śliczne dziewczę postępowało za wujem w milczeniu. Od kwadransu, ze sto razy pytała sama siebie, jaki wpływ może wywrzeć list z Indyi na los jej wybawcy?

Dotychczas nie wiedziała jeszcze o tem, że wyrodny ojciec opuścił go, zostawiając na opiece dzierżawcy Ashtona.

IX.

Pułkownik Mowbray z gorzkiem uczuciem swego upokorzenia wyszedł z salonów lorda Yarmouth. Choć był ubogi i rozrzutny, uważano go jednak w świecie za człowieka uczciwego. Był on dumny z powodu wysokiego urodzenia, ale nie posiadał uczucia honoru, który jest prawdziwą szlachectwa ozdobą. Jak wielu innych, lękał się szyderstwa świata bardziej, niż wyrzutów sumienia. Ostatnie oddawna zmuszone było milczeć, bo jeżeli głos czasem usiłował się odezwać, przytłumiał go spiesznie wśród zgiełku rozrywek. Podobnie jak baronet, brat jego starszy, pułkownik posiadał wielkie zdolności, które gdyby otrzymały należyty kierunek, byłyby mogły zapewnić mu stanowisko wcale inne, jak położenie oszusta odkrytego, schwytanego na szalbierstwie, zrujnowanego gracza, do czego przyprowadziły go występki i zepsucie.

Wiedział o tem, że próżne byłyby jego zabiegi, o odebranie od lorda Yarmouth kości, które stanowiły namacalny dowód jego hańby. Magnat ten, jakkolwiek w grze zamiłowany, nigdy nie zasłużył na podejrzenie, aby w sposób nie rzetelny chciał zgrywać swoich przyjaciół i towarzyszy.

Pierwszą myślą pułkownika było schronić się na ląd stały Europy, i tam ukryć swą hańbę. Ale zostawała mu jeszcze jedna nadzieja: Miran powiedział mu, że go będzie potrzebował. Bez wątpienia słowa te głęboko dotknęły jego miłość własną, ale mu zarazem dawały rękojmię tajemnicy, i dla tego na każdy wypadek postanowił oczekiwać skutku jutrzejszego widzenia się z Indyaninem.

Zaczął się zastanawiać i pocieszać tą myślą, że Miran-Hafaz jest młody, nie mający doświadczenia, nie znający świata; potem i to go uspakajało, że nie miał równego sobie w strzelaniu do celu. Może więc, myślał sobie, potrafi tem zaimponować młodzieniaszkowi. Gracz wcale się nie domyślał z jak energicznym i wytrwałym człowiekiem mieć będzie do czynienia.

— Cóż z tego! odwaga opuściła go, bo gdy doszedł gry mojej, kości oddał w ręce gospodarzowi domu... Będzie musiał prosić o zwrócenie takowych i przeprosić na końcu, i wtedy sprawa będzie załatwiona. Gdyby nie chciał na to przystać, znalazłbym sposób zmusić go do milczenia...

Idąc na spoczynek, obejrzał jeszcze pistolety, czy w dobrym były stanie.

Pułkownik Mowbray postanowił sobie, nie zdradzić obawy, która go dręczyła, zbyt ranną wizytą w mieszkaniu młodego cudzoziemca. Przyszedł więc tam już o dosyć spóźnionej godzinie przed południem. Ale zamiast być wprowadzonym do salonu wedle zwyczaju, służący wskazał mu długi przedniosek, obrócony przez Miran-Hafaza na strzelnicę. Ściany przyozdobione były w trofea z wszelkiego rodzaju broni ułożone, zacząwszy od szabli damasceńskiej, aż do malowniczego hełmu i puklerza wodza Mahratów, od włóczni Mameluka, do rusznicy indyjskiej, bogato złotem i kamieniami drogiemi nabijanej, wisiały tam także pistolety i strzelby myśliwskie, pochodzące z pracowni najzręczniejszych rusznikarzy europejskich.

Z wielkiem niezadowoleniem pułkownik zastał indyjskiego księcia, zajętego okazywaniem swej zręczności, przed kapitanem Herbet i dwoma czy trzema innymi panami, z którymi się zaznajomił za swojem do Anglii przybyciem. Lord Yarmouth i jenerał Bouchier przypatrywali się uważnie; ten ostatni od czasu do czasu rozmawiał po indyjsku z Khanem, który zawsze uchodził za człowieka nierozumiejącego ani słowa w innym języku. Uśmiechnął się nieznacznie Khan, ujrzawszy nadchodzącego pułkownika.

Lord Yarmouth, którego ciekawość nie była jeszcze zaspokojoną od poprzedniego wieczora, przyniósł z sobą w kieszeni wspomniane kości do grania. Podejrzywał on, że musiały być fałszywe, i że jakieś wyjaśnienie koniecznie nastąpi.

Ale że to był człowiek przezorny, do życia i uciech świata przywiązany, nie miał ochoty zadzierać się z szermierzem, tak zręcznym, jak pułkownik Mowbray. Zachował więc postawę, jeżeli nie serdeczną, to przynajmniej bardzo

ugrzecznioną. Dla człowieka tak znającego ludzi, jak pułkownik, obejście lorda względem niego musiało oznaczać jak najwyraźniej: Trzymam w zawieszeniu moją opinię.

— Opuściłeś pan bardzo ciekawe widowisko, panie Mowbray, — rzekł mu jenerał przy powitaniu.

— A to jakim sposobem? — zapytał gracz, usiłując pokryć swe pomięszanie.

— Oto nasz młody przyjaciel trafił sześćkrotnie raz po raz, strzelając do asa czerwiennego, na końcu galeryi umieszczonego. Kula ani raz nie padła choćby na jedną linijkę po za obręb celu.

Przybijano siódmą kartę na przeciwległym końcu korytarza, gdy Miran-Hafaz zbliżył się dla powitania przybyłego, którego przyjął ze zwykłym sobie spokojem w całej fizyognomii. Właśnie służący podał mu nabity pistolet, który trzymał w lewej ręce, podając prawą przybyłemu gościowi.

— Dopiero co mówiłem o twej zręczności pułkownikowi, — rzekł jenerał Bouchier, — on potrafi należycie ją ocenić, bo ma sławę strzelca niepospolitego, chociaż podobno ty go przewyższasz w tej zręczności.

Indyanin uśmiechnął się; wyczytał bowiem w oczach swego gościa, że jest zawiedziony w swojej rachubie.

— Już gotowe! — rzekł kapitan Herbert, który właśnie przybił kartę i usunął się od celu w drugi koniec galeryi.

Nie przekładając broni z lewej ręki, Miran podniósł ją niedbale i wystrzelił. Nie patrzył nawet czy dobrze trafił, tak był pewnym celnego strzału.

Młodzi ludzie, stojący na drugim końcu przysionka, wykrzyknęli z podziwienia. Po raz siódmy kula trafiła w sam środek karty.

— To zręczność nadzwyczajna! — zawołał kapitan Herbert, podając kartę wujowi.

— Byłbym zmartwiony, — rzekł do dzielnego strzelca z uśmiechem, — gdybym miał z panem jaką sprzeczkę.

— A to dla czego? — spytał Miran.

— Bo w Anglii, mój młody przyjacielu,— odpowiedział jenerał za swego synowca, — sprzeczka prowadzi do pojedynku.

— Ja wcale nie pochwalam tego zwyczaju, — odrzekł Miran poważnie.

— Bez wątpienia, jest to rzecz niesprawiedliwa pod względem moralnym, — dodał lord Yarmouth, — ale zwyczaje społeczeńskie... wszyscy im niewolniczo ulegać musimy.

— Bo chcecie być niewolnikami tych zwyczajów. Co do mnie, gdybym musiał wyzwać na pojedynek, lub przyjąć wezwanie, zawarowałbym sobie rzecz jedną, koniecznie potrzebną.

— A to jaką, mój drogi?

— Cześć nieskazitelną w moim przeciwniku. Jeżelibym przystał na zrobienie ofiary z moich przekonań i życia własnego, nigdy nie podjąłbym się służby kata.

— Służby kata?

— Czy inaczej zowiecie człowieka, co spełnia ostateczne wyroki sądu na winowajcach?... Być może, moje wyobrażenia dziwne wam się wydają, — mówił dalej Miran, — ale takie przesądy istnieją u nas w Indyach i powtarzam, że nigdy nie mógłbym przyzwoicie potykać się z człowiekiem, którego honor nie byłby równie jak mój bez plamy.

— A gdyby cię publicznie nazwał tchórzem, nikczemnikiem, — rzekł lord Yarmouth, — cóżbyś wtedy zrobił?

— Wyjawiłbym jego hańbę, a pierwszego człowieka honorowego, coby taką obelgę powtórzył, ugodziłbym w głowę lub w serce kulą z mej broni.

— A gdyby rękę podniósł na ciebie, — rzekł kapitan Herbert, — aby cię uderzyć?

Oczy Indyanina zaiskrzyły się jak błyskawica, i z wyrazem tak srogim, że pułkownik Mowbray, który ani słowa z tej rozmowy nie stracił, zbladł jak chusta.

— Rozszarpałbym mu wszystkie członki! — zawołał z wściekłością, — gdyby podły paria śmiał mnie dotknąć swą ręką skalaną!... Ale podczas kiedy tu robimy przypuszczenia najniepodobniejsze do prawdy, — dodał Miran ze spokojnością, która dziwną tworzyła sprzeczność z objawionym przed chwilą zapałem, — przekąska, czyli lunch, jak wy tu w Anglii nazywacie, moi panowie, czeka na nas w jadalnej sali. Idę zmyć z rąk ślady, pozostałe z naszej rannej rozrywki, i zaraz pospieszę za wami.

Dwaj słudzy indyjscy, obecni w galeryi, otworzyli podwoje na znak swego pana, i wprowadzili gości do sali jadalnej, gdzie stół zastawiono z całym przepychem Wschodu. Miran-Hafaz i pułkownik zostali się w galeryi.

— Pułkowniku Mowbray! — przemówił

Indyanin z groźną powagą, — daję ci tylko kilka chwil do rozstrzygnienia, czy masz usiąść pomiędzy moimi gośćmi, czy też mam cię oskarżyć przed nimi jako wiarołomcę?

— Wiarołomcę? — powtórzył gracz zmięszany.

— Jakąż nazwę można dać człowiekowi, który drugiemu pieniądze kradnie? Nie jestże on wiarołomcą, złodziejem, nikczemnikiem najpodlejszym, nędznikiem pogardy godnym, którego społeczeństwo, jakkolwiek występne i popsute, odpycha od swego łona?... Zdaje mi się, żem tego wyrazu nie użył niestósownie?

Człowiek wielkiego świata, zazwyczaj tak umiejący panować nad sobą, czuł się pognębiony nieubłaganą logiką Indyanina, który w porównaniu z nim, mógł za dziecko uchodzić.

— Jestem niewinny... — wyjęknął.

— Chodź ze mną! — rzekł mu Miran, zbliżywszy się ku drzwiom.

— Dokąd?

Do sali. Lord Yarmouth ma jeszcze kości w swem posiadaniu. Roztłuczemy je w obecności pańskich przyjaciół. Jeżeli się pokaże, iż nie są fałszowane, nie ma ofiary, którejbym nie był gotów zaraz spełnić, nie ma wymówki, którejbym ci odmówił, aby odpokutować za niesprawiedliwość moich podejrzeń!... Wachasz się!... Jednej jeszcze rzeczy brakowało, jak widzę, dla dopełnienia twojej hańby: kłamstwa, teraz już je wyrzekłeś!...

Twarz pułkownika okryła się bladością trupią. Pierwszy to raz w życiu zastósowano doń tak obelżywe słowa bezkarnie, bez obmycia tej plamy krwią napastnika. I on stał tam teraz, jak winowajca, upokorzony, okryty wzgardą, zelżony, naprzeciw swego oskarżyciela, jak złoczyńca przed sędzią nieubłaganym.

— Nie gub mnie! — rzekł w rozpaczy, — pierwszy to raz nazwisko, które noszę, zostało zhańbione!...

— Ale pod dwoma warunkami.

— Mów prędzej.

— Pierwszy jest ten, że podpiszesz wyznanie haniebnych i nieuczciwych sposobów, za pomocą których wygrałeś odemnie znaczne sumy; a drugi, że mi dopomożesz do osiągnięcia celu, w jakim do Anglii przybyłem.

— Pisemne mam zrobić zeznanie! — wyjąknął Mowbray, — czyż nie dość ustnej obietnicy?

Śmiech pogardliwy przerwał mu mowę.

— Twoja obietnica! — powtórzył Miran, — spuściłbym się prędzej na stałość wichrów, niż na przyrzeczenie szalbierza, podobnego tobie. Musisz napisać słowo w słowo historyę twego bezecnego postępku. Sam sobie przypisz, jeżeli to nie jest jedyną rękojmią, jakiej zaufać mogę.

— A jakiż jest ów zamiar, którego dokonać pragniesz?

— Pisz! — rzekł Miran surowo.

Chwilę zawachał się gracz; ale ujrzawszy zimny i przeszywający wzrok swego pogromcy, tłumiąc w sobie krzyk wściekłości i rozpaczy, usiadł przy stoliku i napisał na arkuszu papieru szczegółowe wyznanie swej zbrodni. Skończywszy, podał pismo drżącą ręką młodzieńcowi, który je uważnie odczytał. Było zupełnie odpowiedne jego życzeniom.

— Tak dobrze, — rzekł Miran, — ale nim się podpiszesz, potrzebujemy świadka.

Klasnął w ręce, jak to jest zwyczaj na Wschodzie, dla przywołania służby, a gdy wszedł służący, spytał go, czy jego bankier już przybył. Odpowiedziano mu twierdząco, i zą kilka chwil wprowadzono do galeryi sławnego pana Coutts, w którego banku Miran miał kredyt nieograniczony. Młody Indyanin powitał go serdecznie, bo mimo swych wszystkich dziwactw, przemyślny bankier był człowiekiem nieposzlakowanego honoru i dobroci bez granic.

Miran dziękował mu za to, że na jego prośbę bankier przyniósł z sobą niektóre dokumenta i papiery, które też następnie położył na stół; dodał, że na dopełnienie swej uprzejmości ma jeszcze być świadkiem podpisu pułkownika Mowbray, na co też bankier bez trudności przystał.

Ukrywszy pismo pod ćwiartką papieru, Indyanin wezwał głosem najłagodniejszym pułkownika, aby położył swój podpis. Słowa jego były uprzejme i pojednawcze, ale spojrzenie, które im towarzyszyło, było groźnym rozkazem. Gracz widział, że nie ma sposobu uniknąć fatalnego położenia swego; syn księżniczki indyjskiej uwikłał go zupełnie w swe sieci. Z gwałtownem wysileniem podpisał swe nazwisko, a potem z gniewem rzucił pióro. Pan Coutts podpisał się jako świadek, poręczający prawdziwość podpisu. Zwycięztwo Mirana było zupełne.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z ŻYCIA ZWIERZĘCEGO.

Wskutek poszukiwania pięknych piór niektórych ptaków, jak strusi a zwłaszcz bażantów himalajskich do strojów damskich, a tem samem ciągłego ich prześladowania, ptaki te stały się nadzwyczaj dzikiemi i czujnemi; nawet przebywając w samotnych lasach mają się zwykle na ostrożności, która przeszła we własność dziedziczną. W tym przypadku lękliwość zwiększając się stopniowo, stała się charakterystyczną cechą ptaka. Bojaźń przed człowiekiem zmieniła nawet zwyczaje wielu ptaków i zwierząt. Tak np. gęsi na Nilu szukają pożywienia w nocy, przebywając w dzień na wyspach i ławach piaszczystych, zkąd łatwo dostrzedz mogą zbliżających się myśliwych. Podobnież bóbr buduje obecnie mieszkanie po zapadnięciu zmroku, podczas, gdy dawniej, jak opowiadają pierwsi osadnicy amerykańscy, wykonywał pracę tę w dzień.

Dobrze znane są wszystkim hasła, dawane przez wielu ptaków na znak niebezpieczeństwa, kiedy jaki nieprzyjaciel nadchodzi, oraz idące tuż za niemi milczenie całego stada, jest bardzo charakterystyczne.

Gwałtowny przestrach objawia się niekiedy w niektórych ptakach; widać to z rozszerzonych nadzwyczaj źrenic, dziki go wejrzenia, oraz przeraźliwych krzyków. Gniew i smutek widać z żałosnych krzyków i podwojonych usiłowań odpędzania napastnika od gniazda. Również przykłady długotrwałego zmartwienia wskutek straty towarzysza lub towarzyszki życia, wspominane bywają przez wielu naturalistów. — Pewne gatunki objawiają nienawiść względem swoich nieprzyjaciół: za przykład mogą służyć stada jaskółek ścigających i dręczących sokoły, jakoteż sowy.

Zdolności pojmowania u ptaków dowodzi następujący przykład, cytowany przez sławnego przyrodnika [illegible]. Gil wzięty z klatki, zawierającej inne ptaki, nie okazywał żadnego szczególnego przywiązania do którejkolwiek z osób rodziny, u której się znajdował. Wszakże, kiedy jedna z kobiet zaczęła pieścić się z nim i rozmawiać przez kilka tygodni, ptak odróżniał ją od wszystkich innych, poruszając piórkami swojemi i świergocąc, ile razy zbliżyła się do klatki, podczas gdy każdego innego witał oznakami nadzwyczajnego niezadowolenia, rzucając się ku niemu z gwałtownością, jak gdyby chciał go odpędzić. W tych razach dziób miał otwarty, pióra najeżone, drapiąc druty klatki i w największym gniewie bijąc skrzydłami. Wszakże jak tylko jego pani się ukazała, wszelkie oznaki niezadowolenia znikały. Starano się zwieść ptaka zmianą ubioru, oraz przez wprowadzenie wielu innych kobiet, ale mimo tego poznawał zawsze swoją dobrodziejkę.

Ciekawe przykłady tak zwanej życzliwości instynktowej napotkać można między pisklętami niektórych gatunków ptaków. Adams powiada, iż często napotykał osobniki drozda wędrownego w Ameryce Północnej, u których te z piskląt, które były już odchowałe, karmiły inne, nie umiejące jeszcze się żywić. W razie niebezpieczeństwa, jakie zagraża niekiedy pojedyńczemu osobnikowi, cała gromada idzie mu w pomoc z odwagą a nawet z poświęceniem. Tak np. dzienniki doniosły niedawno o ciekawej walce gęsi z orłem, w obronie jednego osobnika. — W stanie Arkansas niedaleko miasta Little-Rock, pływało stado gęsi spokojnie po rzece, gdy wtem spuścił się na nie orzeł jak błyskawica. W tej samej atoli chwili dały gęsi nurka i orzeł musiał z niczem odlecieć. Jednakże po kilkakroć powtórzonym napadzie, udało mu się jedną z gęsi pochwycić. Zaraz też chciał uciekną ze swą zdobyczą, gdy wtem wzbiły się gęsi za orłem, otoczyły go, poczęły ranić swymi dziobami, ciągły za nogi, ogon i skrzydła tak, że orzeł z miejsca ruszyć się nie mógł. W końcu uwolnił orzeł swą nieszczęśliwą ofiarę po długiej krwawej walce, która blizko 30 minut trwała. Rzeka zafarbiła się dokoła krwią walczących ptaków, mnóstwo piór okryło powierzchnię wody, ale za to ofiara została ocaloną! Oto najlepszy dowód, jak ptaki są życzliwe dla siebie a jak nienawidzą swych satrapów.

Instynkt towarzyski jest bardzo silnie rozwinięty u niektórych gatunków ptaków. Wiele gatunków, tz. pieprzojadów wykazują nadzwyczajne przywiązanie a w razie rozłąki, stają się nadzwyczaj smutne i niespokojnie przeskakują z jednej gałęzi na drugą, lub też siedzą osowiałe z głową zwieszoną.

Wszystkie ptaki śpiewne i drapieżne żyją społecznie t. j. samiec obiera sobie samicę, z którą przez cały czas życia swego zostaje. Popęd ten jest osobliwie u większych ptaków drapieżnych tak silny, że gdzie sobie jedna para gniazdo założyła, drugi samiec do niego zbliżyć się nie śmie, inaczej bowiem między samcami powstaje walka zabójcza. Orły nawet w czasie lęgnienia są i dla człowieka niebezpieczne. Ptaki wędrowne jak np. jaskółki, przepiórki i t. p. wędrują zawsze razem tj. samiec i samica w jednem stadzie. Jeżeli jedno z pary samo do gniazda pierwej powróci, niebawem i drugie szukając go, przybywa. Z jaskółek zwykle samica pierwej nadleci, jeżeli w drodze samiec i samica się straciły. Wróbel żyje także społecznie. Kuropatwy tem się szczególniej odznaczają, że cała rodzina aż do przyszłej wiosny w gromadzie zostaje i dopiero na wiosnę się rozchodzi, gdy młode w nowe stadła się łączą. Kiedy więc na jesień widzimy stado kuropatw, to mamy przed oczyma całą rodzinę. Najdziwniejsza atoli jest, że ptactwo domowe, opiece człowieka powierzone, wcale nie ma tego popędu do życia społecznego. Kury mają jednego koguta, gęsi jednego gąsiora itd. Jedynie gołąb, połowicznie do dzikiego ptactwa należący, czyni wyjątek, żyjąc także społecznie. Jeżeli para gołębi gwałtem się rozdzieli, samiec przyjmie wprawdzie inną samicę; ale gdy z pierwszą się zejdzie, to zaraz opuszcza obecną i powraca do pierwszej.